

Uzdrowiciel Malcolm, znany bardziej jako czarnoksiężnik Malkallam, na moment oderwał wzrok od pracy, albowiem na niewielką polanę w Lesie Grimsdell wjechał Will.

Każdego przedpołudnia, począwszy od jedenastej, Malcolm zajmował się leczeniem swoich ludzi. Ci, którzy odnieśli jakieś obrażenia albo w ogóle na coś chorowali, ustawiali się przed domem uzdrowiciela w kolejce. Czekali, aż ich przebada. Uskarżali się na rozmaite dolegliwości: zwichnięte stawy, skaleczenia, rany albo gorączkę.

Wielu spośród mieszkańców małej leśnej osady zostało wypędzonych kiedyś z domów jako ludzie ułomni, kalecy, zdeformowani. Problemy ze zdrowiem okazywały się chroniczne, więc nieszczęśnicy nadal wymagali stałej opieki. Kolejka pacjentów zazwyczaj była długa.

Ostatni w tym dniu pacjent Malcolma zgłosił się ze stosunkowo drobną sprawą. Jedenastoletni chłopiec postanowił mianowicie wykorzystać wycieraczkę sprzed matczyngo domu w charakterze latającego dywanu, na którym spróbował sfrunąć z czterometrowego drzewa.

Malcolm dokończył bandażowanie skrzyżowanej kostki, nałożył trochę maści na podrapane łokcie oraz nadgarstki i na koniec potarosił włosy pechowego poszukiwacza przygód.

– Zmykaj – rozkazał – i od teraz magię zostaw mnie.

– Jasne, Malcolmie – mruknął jedenastoletek, zwieszając zawstydzoną głowę.

Gdy tylko chłopczyk czmychnął, uzdrowiciel zwrócił się w stronę Willa, który właśnie rozkulał konika.

Zwiadowca łagodnie przemawiał do zwierzaka, wycierając go z potu. Konik zdawał się rozumieć słowa swego pana; reagował przyjaznymi parsknięciami i wstrząsał krótką grzywą. Niemłody gospodarz lasu przypatrywał się temu z przyjemnością, gdyż cieszyła go więź między tymi dwoma, widoczna już od pierwszego spojrzenia.

– Słyszałem, że odnalazłeś Skandian? – odezwał się wreszcie.

Will skinął głową.

– Dwudziestu pięciu krzepkich wojowników – odparł.

– Obozują dokładnie w tym miejscu, które wskazał twój posłaniec. Na brzegu rzeki Oosel.

Ludzie Malcolma zapuszczali się daleko w wiekowy bór. Niewiele spraw, jakie tam się działy, uchodziło ich uwadze. Jeśli zaś spostrzegli coś niezwykłego, od razu powiadamiali uzdrowiciela. Na wieść o grupie skandyjskich rozbitków, Will od razu wyruszył, by ich odszukać.

– A oni z radością zaoferowali ci pomoc? – podpytywał Malcolm.

Will wzruszył ramionami, siadając na słonecznej werandzie obok starego uzdrowiciela.

– Z radością to oni przyjmą pieniądze, jakie im zaproponowałem. Poza tym ich kapitan uznał, że jest mi coś winien, ponieważ pozwolił Buttle'owi uciec.

Xander, sekretarz oraz pomocnik Ormana z Macindaw, wyszedł przed dom.

– Jak tam Orman? – zapytał Malcolm.

Keren, pragnący przejąć panowanie w Macindaw, usiłował otruć pana na zamku. Will z Xanderem zdołali ocalić lordowi życie, choć na ukrytą polanę uzdrowiciela dotarli w ostatniej chwili.

– Wszystko zmierza ku lepszemu. Jednak wciąż jest bardzo słaby. Znowu śpi – wyjaśnił Xander.

Malcolm pokiwał głową z namysłem.

– Sen to najlepsze lekarstwo. Trucizna opuściła już organizm. Ciało będzie się leczyć teraz samo. Pozwólmy Ormanowi odpoczywać.

Xander chyba ciągle pozostawał wobec Malcolma nieufny. Starzec uratował jego panu życie, on wszakże nadal traktował uzdrowiciela nieco podejrzliwie. Był zdania, że Malcolm powinien zapewnić lordowi jakąś bardziej konkretną kurację. Tymczasem ograniczał się do zwyczajnego zalecenia, by lord odpoczywał. Jednak sekretarz łopotał się aktualnie inną sprawą.

– Czy ja dobrze usłyszałem? Obiecałeś tym Skandianom, że im zapłacisz? – zwrócił się do Willa.

Will uśmiechnął się do niego promiennie. Zaprzeczył.

– Nie. Obiecałem, że ty im zapłacisz – odparł. – Za usługi należy się siedemdziesiąt złotych rojali.

Oburzony Xander naskoczył na zwiadowcę.

– Niesłychane! – zachnął się. – Nie masz prawa robić czegoś takiego! Orman jest włodarzem Macindaw. Prowadzenie wszelkich tego rodzaju negocjacji należy do niego. Albo do mnie, pod jego nieobecność!

Sekretarz udowodnił już wcześniej, iż jest człowiekiem odważnym, ogromnie oddanym swemu panu. Jednak odwaga oraz oddanie sprawiały, że czasem Xandera rozdymała nadmierna pycha. Will obrzucił go wiele mówiącym spojrzeniem. Usłyszał wzgardliwe prychnięcie Malcolma.

– W tej chwili – wycedził Will z ostrzegawczą nutą w głosie – Orman nie jest włodarzem zupełnie niczego. Nie włada nawet pożyczonym łóżkiem, w którym spoczywa. Zresztą, w istocie rzeczy ja przewyższam lorda rangą. Chyba zapominasz, że działam z upoważnienia króla.

Xander uświadomił sobie, że młodzieniec ma rację. Bądź co bądź, Will był zwiadowcą, chociaż przybył do Macindaw w przebraniu rybałta. Xanderowi z trudem przychodziła akceptacja faktu, że tak wielkie uprawnienia przekazano komuś tak młodemu. Ustąpił, ale postanowił jeszcze trochę pogrymasić.

– Mimo wszystko – westchnął – aż siedemdziesiąt rojali? Doprawdy, należało się porządniej targować!

Will wstrząsnął czupryną.

– Możesz renegotjować umowę, jeżeli tylko masz na to ochotę. Jestem pewien, że Skandianie z radością ruszą do targu z kimś, kto zamierza się przyglądać z boku, jak oni nadstawiają karku.

Xander spostrzegł, że wkroczył na grząski grunt. Lecz okazał się zbyt uparty, by po prostu poniechać tematu.

– Cóż, zapewne. Jednak, zważ, tym właśnie się trudnią, czyż nie? Walczą dla pieniędzy, nieprawdaż?

– W rzeczy samej – Will przytaknął, i pomyślał, że Xander potrafi być bardzo irytujący. – I dzięki temu dobrze się orientują, ile jest warte ich życie. Zresztą, spójrz na sprawę z jaśniejszej strony. Więcej optymizmu. Może przegramy, a wtedy nie będziesz im winien ani grosza.

W głosie zwiadowcy zadźwięczały ostrzejsze nutki. Ten ton nareszcie przedarł się przez napuszoną dumę Xandera. Sekretarz pojął, że dalsze drażnienie kwestii może się okazać nie najlepszym pomysłem. Prychnął, po czym odszedł. Ale nim odszedł, zadbał uprzednio, by do Willa oraz Malcolma dotarła uwaga, jaką im rzucił na odchodnym: „Siedemdziesiąt rojali, też mi coś! Nigdy nie słyszałem o podobnej rozrzutności!”

Malcolm, łypnąwszy na Willa, wzruszył ramionami, okazując mu pełne zrozumienie.

– Mam nadzieję, że wkrótce uda ci się wyprawić tego osobnika z powrotem do zamku – mruknął. – Jego zachowanie zaczyna mnie już irytować.

Will uśmiechnął się.

– Przynajmniej jest bardzo oddany. No i stać go, małego uparciucha, na odwagę. Sam zresztą miałeś okazję się o tym przekonać.

Malcolm zastanawiał się przez parę chwil.

– Dziwne, prawda? – zauważył refleksyjnie. – Można by się spodziewać, że odwaga oraz oddanie sprawiają, iż kogoś polubisz. A jednak jemu jakoś stale udaje się doprowadzać mnie do szewskiej pasji. – Machnął ręką, odsuwając na bok temat Xandera. – Wejdzmy do środka. Opowiesz mi nieco więcej o tych twoich Skandianach.

Wprowadził Willa do wnętrza domu. Już wcześniej zaparzył dzbanek kawy. Odkąd poznał młodego zwiadowcę, czyli nie tak znów dawno, zauważył jego graniczące z uzależnieniem zamiłowanie do smolistego napoju. Uśmiechnął się, bo Will, posmakowawszy kawy, oblizał wargi i westchnął z rozkoszą. Rozsiedli się na wygodnych krzesłach przy kuchennym stole Malcolm.

– Przybędą za dzień lub dwa – oświadczył Will. – Zostawiłem ich, żeby zwinęli obozowisko. Potem pociągną za mną. Jeden z twoich ludzi przyprowadzi ich tutaj. Mieliliśmy szczęście, że nam się trafili, przyznaję. Trzeba mi bowiem wojowników, a tych w pobliżu jak na lekarstwo.

Malcolm westchnął.

– Prawda – przytaknął. – Moi ludzie to nie wojownicy. Nie są ani wyszkoleni, ani odpowiednio wyekwipowani do takiego akurat zajęcia.

– Okoliczni wieśniacy także raczej się do nas nie przyłączą. Wszyscy śmiertelnie lękają się czarnoksiężnika Malkallama – dodał Will. Uśmiechnął się, by pokazać, iż nie zamierza nikogo obrażać. Malcolm pokiwał głową, przyznając zwiadowcy rację.

– Fakt. Co więc planujesz, kiedy Skandianie tu dotrą?

Młodzian zawahał się, nim odpowiedział.

– Wtedy... Zobaczymy. Trzeba wymyślić sposób na zdobycie zamku i wydostanie stamtąd Alyss.

– Robiłeś już kiedyś coś takiego? – zapytał Malcolm.

Will uśmiechnął się smętnie.

– Właściwie to nie – wyznał. – Tego rodzaju zadań nigdy nie przerabiałem w trakcie zwiadowczych szkoleń.

Nie zamierzał na razie łamać sobie tym głowy. Może Skandianie wpadną na jakiś pomysł. Zajmie się wszystkim, kiedy nadejdzie stosowny czas.

Malcolm w zamyśleniu gładził podbródek.

– Rozważałeś wariant, by posłać po pomoc do Zamku Norgate?

Will niespokojnie poruszył się na krześle.

– Owszem – odparł. – Ale Keren szczelnie zamknął drogi. Żaden konny się nie prześlizgnie.

Obserwatorzy Malcolm'a donieśli, że jeźdźcy kierujący się na zachód są zatrzymywani i zwracani.

– Żaden, prócz jego własnych – wtrącił Malcolm. – Jakiś jeździec opuścił Macindaw w czasie, gdy cię nie było.

Will ponuro pokiwał głową.

– Keren nie jest głupcem. Założę się, że posłał umyślnego z wiadomością, iż Orman zdradził i zbiegł, porzucając Kerena, na którego barkach spoczywa teraz troska o bezpieczeństwo Macindaw. Zresztą ja sam identycznie postąpiłbym na jego miejscu. Sęk w tym, że on jest lubiany i szanowany. Będą skłonni mu wierzyć. Tymczasem ja jestem przybłądą. Co więcej, zadaję się ze zdrajcą posądzonym o czarnoksiężskie praktyki.

– Wszelako ciągle pozostajesz w randze królewskiego zwiadowcy – zaoponował Malcolm.

– Oni o tym nie wiedzą. Przybyłem tu w tajnej misji. – Will prychnął, gdy o tym pomyślał. – Załóżmy jednak, że zdołałbym przesłać wiadomość i że oni potraktowaliby ją poważnie. Co, twoim zdaniem, powinni w konsekwencji uczynić?

Malcolm przez chwilę rozważał problem.

– Przyślą żołnierzy, żeby nas wsparli? – podsunął.

Will zaoponował.

– Jest zima. Armia się rozproszyła. Żołnierze wrócili do domów. Skrzyknięcie ich zajęłoby ze dwa tygodnie. Spore przedsięwzięcie. Oni nie podejmą go tylko dlatego, że ktoś obcy poprosi. Możemy liczyć, co najwyżej, że wyślą kogoś na przeszpiegi, by zbadał, kto tutaj mówi prawdę. Ale i tak stracimy co najmniej dwa tygodnie. Bo trzeba tygodnia na podróż w każdą stronę.

Malcolm sposepniał.

– Niewiele da się zdziałać, prawda?

– Całkiem bezradni nie jesteśmy – pocieszył uzdrowiciela Will. – Z dwudziestoma pięcioma Skandianami zdołamy niezłe zaleźć Kerenowi za skórę. Później, kiedy już zgromadzę solidne dowody, pošlemy wiadomość do Norgate.

Umilkł. Mocno zmarszczył czoło. Żałował, że nie ma choć odrobinę więcej doświadczenia w takich sprawach. Był najmłodszym zwiadowcą w Korpusie. Prawdę mówiąc, nie miał pewności, czy obiera właściwą drogę. Jednak Halt zawsze mu wpajał, żeby przed podjęciem konkretnego działania zebrał tyle informacji, ile tylko zdoła.

Zbierał więc.

Po raz dwudziesty w ciągu ostatnich kilku dni żałował, że nie ma jak skontaktować się z Haltem. Opiekun gołębi Alyss zniknął, nikt go w okolicy ostatnio nie oglądał. Najpewniej spłoszył go Buttle oraz jego ludzie.

Will otrząsnął się z niewesołych myśli.

– Działo się coś jeszcze pod moją nieobecność? – zapytał.

Dopił kawę, z nadzieją lypnął na dzbanek. Malcolm, który był świadom, że jego zapas kawowych ziaren z wolna się kończy, udał, że nie dostrzega niemego zapytania. Zlekceważył także ciche westchnienie, które w konsekwencji nastąpiło. Przerzucił kilka stron z notatkami. Zapiski sporządził na podstawie relacji własnych służb wywiadowczych.

– Wydarzyły się dwie rzeczy – odpowiedział. – Twoja przyjaciółka, Alyss, przez dwie ostatnie noce dawała w swoim oknie jakies znaki światłem.

Malcolm zauważył, że natychmiast odwrócił uwagę Willa od kawy. Młodzieniec wyprostował się w krześle.

– Światło? – powiedział z ożywieniem. – Jakiego rodzaju światło?

Malcolm wzruszył ramionami.

– Wygląda jak zwyczajna lampa. Jednak chybotnęła się w oknie.

– Od framugi do framugi? – dopytywał się Will.

Malcolm, zaskoczony, podniósł wzrok znad notatek.

– Owszem – potwierdził. – Skąd wiedziałeś?

Will uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Alyss używa kodu kurierów – wyjaśnił. – Domyślam się, że wie, iż wcześniej czy później zauważę znaki. Kiedy to robi?

Tym razem Malcolm nie potrzebował zaglądać do notatek.

– Zwykle po zmianie wart o północy, mniej więcej około trzeciej nad ranem. Księżyc stoi już wtedy nisko, więc łatwiej dostrzec światło.

– Świetnie! – ucieszył się Will. – To mi daje czas na przygotowanie wiadomości. Trochę wyszedłem z wprawy w używaniu kodu – dodał przepraszającym tonem. – Nie posługiwałem się nim od czasu egzaminu po czwartym roku szkolenia. Ale mówiłeś, że wydarzyły się dwie rzeczy? – spytał.

Malcolm ponownie przewertował stronicę.

– Och, tak. Parę dni temu, rankiem, jeden z moich ludzi widział, jak Buttle i jego zbrojni rozmawiają z obcym rycerzem przy potoku Tumbledown Creek. Mój człowiek sądził, że chodzi o werbunek. Ale wyglądało mu na to, że ów wojownik posłał tamtych do diabła. Sam też później odjechał. Jak mi się zdaje, wynajął pokój w oberży „Pod Pękniętym Dzbanem”.

Malcolm odnotował w myślach, iż to akurat doniesienie mniej pasjonuje zwiadowcę. Will, który już układał wiadomość dla Alyss, zapytał jeszcze z roztargnieniem:

– Czy twój człowiek rozpoznał herb rycerza?

– Niebieska pięść. Czyli wojownik najmujący się u różnych lordów. Nosi niebieską pięść wymalowaną na białej tarczy. Okrągłej.

Teraz wiadomość zdecydowanie ożywiła Willa. Zwiadowca prędko podniósł wzrok.

– Coś jeszcze? Młody ten rycerz? Stary?

– Całkiem młody. W rzeczy samej, zaskakująco młody. Ale kawał chłopca. Dosiadał potężnego gniadosza. Mój chłopak podszedł na tyle blisko, że usłyszał, jak gada do konia. Nazwał go Nicker albo Whicker. Coś w tym rodzaju.

– Kicker? – podsunął Will. Jasny promień nadziei musnął mu serce.

Malcolm przytaknął.

– No. Bardzo możliwe. Brzmi lepiej niż Nicker, nieprawdaż? Ty go znasz? – dodał.

Reakcja Willa nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Skoro tak się ucieszył, musiał tamtego znać.

– Och, przypuszczam, że znam. Nawet nieźle – odpowiedział. – Jeżeli to osoba, o której myślę, sprawy właśnie przybierają znacznie pomyślniejszy niż dotąd obrót.